



K.P.
15.05.13

Andriej Astachow "Róg Dionizosa"

Fahrenheit Crew

„Róg Dionizosa” to drugie opowiadanie Andrieja Astachowa prezentowane na naszych łamach, tym razem poprzedzone kilkoma słowami od Autora do polskich czytelników. Jednocześnie bardzo miło nam poinformować, że nasz tłumacz, Tadeusz Rubnikowicz, uruchomił stronę ze swoimi przekładami rosyjskiej fantastyki, na której za darmo można zapoznać się z, między innymi, całym pierwszym tomem Cyklu Smoka Andrieja Astachowa zatytułowanym „Leodan, syn lwa”.

Zapraszamy serdecznie do odwiedzin strony fantastyka.nets.pl

Oby przybierała na wadze, czego Wam i sobie życzymy.

Do polskiego czytelnika

Prawdopodobnie każdemu w dzieciństwie przytrafiło się coś, co zaważyło na jego dalszym losie. Pamiętam dzień, kiedy mama przyniosła w wielkiej torbie z księgarni dziewięć nowiutkich, pachnących farbą drukarską, opastych tomów. Na okładkach widniało nieznanne mi wtedy imię i nazwisko - Henryk Sienkiewicz.

Następne dwa tygodnie stały się dla mnie prawdziwym świętem. Czytałem bez przerwy, zapominając o jedzeniu i spaniu, o tym, że trzeba odrobić lekcje albo wypadałoby pobawić się na podwórku z kolegami. Bez opamiętania połknąłem „Ogniem i mieczem”, „Potop” i „Pana Wołodyjowskiego”, potem zabrałem się za „Krzyżaków” i wreszcie, w zaledwie dwa dni, przeczytałem „Quo vadis”. Nigdy wcześniej tak dużo nie czytałem, i od tamtej pory Sienkiewicz na zawsze wszedł w poczet moich ukochanych pisarzy.

Później, już na uniwersytecie, także nie rozstałem się z polską kulturą - być może dlatego, że jednym z moich wykładowców był człowiek, w którego żyłach płynęła polska krew - nadzwyczajny naukowiec i pedagog, Antoni Gorbaczewski, dzięki któremu znacznie rozszerzyłem swoje wiadomości o polskiej kulturze. Na jego zajęciach fakultatywnych uczyłem się języka polskiego (dotychczas pamiętam niektóre słowa i zwroty!), a pracę egzaminacyjną na trzecim roku pisałem o twórczości Juliana Tuwima. W tym czasie poznałem twórczość jeszcze jednego słynnego Polaka - Bolesława Prusa. Jednakże kariera pisarska w tym czasie jeszcze mnie nie pociągała: bardziej interesowałem się ogólną lingwistyką. Ale przyszedł dzień, kiedy wszystko się zmieniło.

Było to dziesięć lat temu. Spacerując po mieście, zajrzałem do księgarni i, przeglądając nowości, zobaczyłem książkę „Ostatnie życzenie”. Autorem był Polak - Andrzej Sapkowski. Opowiadania wywarły na mnie takie wrażenie, że natychmiast kupiłem pozostałą część sagi o GERALCIE z Rivii i z ogromną przyjemnością przeczytałem od deski do deski. Tak się rozpoczęła moja znajomość z twórczością tego autora, i moje własne stanowcze „zacznę pisać sam!”. Czy postąpiłem słusznie, nie mnie osądzać, ale przestać pisać już nie mogłem. Decyzja o spróbowaniu swoich sił na niwie pisarskiej stała się ostateczna i niezmienna.

Dostrzegam pewien znak z góry, że pierwszym językiem, na który została przełożona moja twórczość, jest język polski i pierwszym czytelnikiem, który otrzymał możliwość poznania jej poza granicami Rosji - jest polski czytelnik. Niezbyt wierzę w przypadek i uważam, że w życiu nic nie

dzieje się ot, tak sobie. Widocznie moje szczere zainteresowanie i mój szacunek do polskiej kultury odegrały w tym swoją rolę.

Mam nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi z polskimi czytelnikami. Bardzo bym tego chciał.

Andriej Astachow

Orestes Popławski, profesor zoologii, do niedawna kierujący katedrą ornitologii w pewnej stołecznej wyższej uczelni, obecnie będący na zasłużonej emeryturze, siedział na ławeczce nad brzegiem Jeziora Łabędziego i rozkoszował się spokojem i ciszą. Dzień był pogodny, niezbyt gorący i prawie bezwietrzny, więc profesor zdjął pulower ręcznej roboty i – przysłoniwszy oczy okularami przeciwsłonecznymi – wygrzewał się na słońcu.

Tej zimy skończył sześćdziesiąt lat i za nic nie porzuciłby swojej katedry i studentów. Spełniło się wreszcie jego dawne, największe marzenie – mógł pojechać do Afryki. Zwiedził parki narodowe Serengeti i Tsavo, zdobył ogromną ilość materiału i po powrocie do Moskwy zamierzał rozpocząć pracę nad monumentalnym dziełem o zachowaniu się afrykańskich ptaków z gatunku Estrildidae i Proceinae. Zamiast tego nagle trafił do szpitala. Może to zmiana klimatu nadwerżyła wspaniałe dotychczas zdrowie... albo wieloletnie palenie? W szpitalu postawiono diagnozę – rozległy zawał mięśnia sercowego – i po raz pierwszy w życiu Orestes Popławski przekonał się, co to znaczy chorować naprawdę. Spędził w szpitalu prawie trzy miesiące i opuścił go bez najmniejszej radości, zaopatrzony w szereg zaleceń i zakazów, które pozbawiały go możliwości pracy, normalnego funkcjonowania i trybu życia, do jakiego był przyzwyczajony. Nieubłagana medycyna znalazła sobie prawdziwego sojusznika w osobie żony profesora, Heleny, której musiał ulec. Najtrudniej było mu odejść na emeryturę, a wyjątkowo wzruszające i ciepłe pożegnanie, jakie zgotowali Orestesowi koledzy i uczniowie, tylko spotęgowało tęsknotę. Czasami nawet żałował, że nie umarł w szpitalu; wtedy nie musiałby gasnąć w czterech ścianach mieszkania z przekonaniem, że ogromnego dzieła nigdy już nie ukończy.

Ale czas mijał i Orestes Popławski oswoił się ze zwolnionym tempem egzystencji. Lekarze i żona pozwolili mu stopniowo wracać do pracy. Pod koniec wiosny w domu znów pojawili się uczniowie, przyszli dysertanci, studenci, można było usłyszeć mądre łacińskie terminy, a także dyskusje. Profesor stopniowo odżywał i nawet miał za złe żonie, że zbyt surowo przestrzega zaleceń lekarza. Nastął dzień, kiedy mógł wrócić do swojej monografii o afrykańskich tkaczach, ale praca nie posuwała się naprzód – natchnienie domagało się mocnej czarnej kawy i tytoniu. A nocami...? Nocami rozmyślał i prawie zawsze jego myśli były tak czarne, jak noc. Jakże mogło być inaczej, jeśli człowiek uświadomi sobie, że najaktywniejsze, najbardziej twórcze i szalone lata ma już za sobą, a przed sobą lekarzy, leki, niemoc i niewolniczą zależność rozumu od tracącego wigor chorego ciała!

Minęła zimna i słotna wiosna, nastąpiło lato. Helena już kilkakrotnie jeździła nad jezioro, gdzie Popławscy mieli domek letniskowy. Gdy zrobiło się cieplej, zaproponowała mężowi wyjazd na odpoczynek za miastem. Mieszkanie zostawili pod opieką Zoi, siostry żony, a dla profesora zaczął się sezon letniskowy.

Siedział teraz na ławce niedaleko daczy i patrzył na jezioro. Udając się na spacer, zabrał ze sobą notatki, ale nie miał natchnienia do pracy, tym bardziej że żona dzwoniła co piętnaście minut, pytając, czy wszystko w porządku. Od rana niepokoiła go też myśl o córce. Przed wyjazdem Irenka odwiedziła go i domyślił się, że jej sprawy osobiste nie układały się najlepiej. Nie było sensu

telefonować – w rozmowach zawsze było klawo, głos dźwięczał rześko, więc profesor nigdy nie potrafił wyczuć fałszu. Wczoraj zauważył też, że żona ukradkiem płakała i przez całą wieczór starannie unikała rozmowy o córce, więc naturalnie nie dowiedział się, co się dzieje...

- Życzę dobrego zdroweczka, Orestesie! – zabrzmiało tuż nad uchem.

Profesor odwrócił się i zobaczył Piotrowicza, wiejskiego listonosza. Panowie uścisnęli sobie dłonie i posypały się pytania o samopoczucie.

- Nie ma zdrowia – westchnął Popławski. – Było i się zbyło.

- Ty, Orestesie Iwanowiczu, pracujesz umysłem – zaczął listonosz, opierając rower o ławkę i siadając obok. – Dużo wiesz, przeczytałeś moc książek. A ja się tak zastanawiam: jak daleko sięga wasz uczony wzrok? Wysłałyśmy rakiety w kosmos, oswoiliśmy energię atomową, stworzyliśmy zmyślne urzędnika, komputery, wszystkiego nie zliczysz! A takiej parszywej starości nie możemy pokonać. Żyje człowiek, a potem brzdęk! I na dwa metry pod ziemię, na stały kwaterunek. Najbardziej przykre, że jeden pociągnie osiemdziesiąt lat, zdrowiuteńki jak rydzyk, a innemu ledwie pięćdziesiątka stuknie, a chorób – jak ozdób na choince.

- Masz rację Piotrowiczu, starość to nieprzyjemna rzecz.

- Za słabi jednak jesteśmy, by z nią walczyć – westchnął listonosz – ale może oni nam pomogą?

- To znaczy kto? – Nie zrozumiał Orestes.

- No, ci z kosmosu. – Piotrowicz pokazał węzlastym, pożółkłym od papierosów palcem na niebo.

- E, długo trzeba będzie czekać! – zaśmiał się profesor. – Nauka dotychczas nie rozporządza danymi, że gdzieś w kosmosie istnieje życie, i do tego rozumiejsze niż na Ziemi.

- Myślałby kto, że na wszystkim się zna twoja nauka! – sarkastycznie podsumował Piotrowicz. – A w kosmosie ktoś jednak żyje i do nas przylatuje. Sam widziałem ich talerz wczoraj wieczorem.

- Coś podobnego! Gdzieżeś go widział?

- Akurat tu, nad jeziorem. – Listonosz sięgnął do kieszeni po papierosy, ale przypomniał sobie, że profesorowi palić nie wolno, więc tylko machnął ręką. – Chodziłem wczoraj do swojej kumy, do łaźni. Wyparzyłem się, później posiedzieliśmy przy herbacie, porozmawialiśmy o tym i o tamtym. Pożegnaliśmy się, kiedy już było ciemno. No i poszedłem do domu brzegiem, bo bliżej. Było bardzo cicho, tylko żabiska kumkały. Uszedłem dobry kawałek i nagle widzę słup białego światła nad jeziorem. W wojsku służyłem w obronie przeciwlotniczej i wiem, jak świeci szperacz; to było coś innego! Zatrzymałem się i patrzę, co za dziwne zjawisko. A ten słup chwilę stał w miejscu, a potem rozpląsał się, tworząc prawdziwą iluminację. Podniosłem wzrok. Nad jeziorem, na tle ciemnego nieba, wisiał jakiś obiekt.

- No i co było dalej? – zapytał profesor, uśmiechając się z niedowierzaniem.

- Nic – z niezadowoleniem odpowiedział listonosz. – Światło zgasło i zrobiło się tak ciemno, że choć oko wykol. Usiłowałem coś dojrzeć, ale na próżno. Tylko nie myśl, że byłem pijany. Po łaźni nie piję więcej niż jeden kieliszek, dlatego zwidy mi nie grożą.

- Ależ wierzę ci, Piotrowiczu, wierzę. Szczerze mówiąc, w Afryce też widziałem coś podobnego. Wydaje mi się, że to nie kosmici. Mogą to być wyładowania atmosferyczne.

- Ja jednak wierzę, że to z kosmosu, i oni nie bez powodu do nas przylatują. Może chcą nas chronić przed złem, chociaż... - Listonosz stał i wziął rower. - Przyszedłbyś chociaż na chwilę, Orestesie Iwanowiczu. Sąsiedzi są tacy zwyczajni, a ty jesteś człowiekiem uczonym, porozmawiać z tobą to wielka przyjemność. Moja baba przygotowała ci ziółka dobre na serce. Weź ze sobą połowicę, kobietom pogadać też będzie miło.

- Dziękuję, Piotrowiczu, przyjdę na pewno. Mówią, że jesteś mistrzem nalewek ziołowych - uśmiechnął się profesor.

- Poczęstuję! - solennie obiecał Piotrowicz. - Pięćdziesiąt gram nie zaszkodzi, nawet lekarze zalecają. No, bywaj zdrow, muszę jeszcze pocztę rozwieźć...

„Szczęśliwe chłopisko”, pomyślał z rozrzewnieniem Orestes, patrząc na listonosza, zwawo jadącego zakurzoną, wiejską drogą na starym maximie. Dobiega siedemdziesiątki, a jeszcze chodzi do łaźni, pali i jeździ na rowerze! Po co ja się poświęciłem nauce? Mieszkałbym na wsi, na świeżym powietrzu, pracowałbym fizycznie, może nie pokręciłoby mnie wówczas...?

Nagle za jego plecami rozległ się głośny, nierozpoznawalny pisk, jakby ktoś dmuchał w blaszany dziecięcy gwizdek. Profesor odwrócił się i zobaczył na pniu brzozy coś bardzo dziwnego.

W pierwszej chwili pomyślał o kozim rogu, który jakiś żartowniś przytwierdził do drzewa, ale po chwili ze zdumieniem stwierdził, że widzi żywą istotę. Żadna książka zoologiczna nawet nie wspominała o istnieniu takiego dziwnego zwierzęcia. Nieznane stworzenie miało około trzydziestu centymetrów długości. Jego ciało przypominało róg, którego końce łagodnie wyginały się do góry, mieniąc się barwami tęczy. Istota miała trzy pary odnóży przypominających łapki owada, zakończonych malutkimi palcami, z okrągłymi przyssawkami. Z ostrego końca zwisała długa, gładka witka o długości ciała istoty. Wić była bardzo ruchliwa - to prostowała się, to zwijała. Najbardziej zdumiała Orestesa głowa, podobna do ludzkiej, którą stworzenie jak żółw wciągało do tępego końca rogu. Szczególne wrażenie wywierało dwoje wielkich, ciemnych oczu, skierowanych binokularnie do przodu. Kiedy zdecydował się podejść do drzewa, by lepiej przyjrzeć się niezwykłemu zwierzątkowi, dziwne stworzonko wyciągnęło szyję i znów pisnęło. Na Popławskiego popatrzyły tak rozumne oczy, że poczuł się nieswojo. Dotychczas uważał, że „najbardziej ludzkim” spojrzeniem w świecie zwierząt wyróżniają się tylko naczelne i może jeszcze ośmiornice, ale teraz pojął, że jest inaczej. Istota obserwowała go, mrugając po przyjacielsku.

„To nie owad”, myślał gorączkowo. „Zewnętrzna powłoka wyraźnie rogowa, a nie chitynowa. A głowa, mój Boże, głowa! To zupełnie nowa podgromada. Albo nawet klasa! Albo... Nie, to niemożliwe! Trzeba je złapać, by nie uciekło!”

Ostrożnie podkradł się do brzozy. Wyciągnął rękę. Zwierzę nadal obserwowało go, nie okazując trwogi ani agresji, tylko od czasu do czasu wydawało melodyjne popiskiwanie, przypominające ćwierkanie świerszcza.

Ostrożnie dotknął grzbietu. Powierzchnia rogu była chropowata i sucha. Nagle zwierzątko oplotło palce profesora wtkowatym ogonem i szybko zamrugało. Zdecydował się chwycić je dwoma palcami w poprzek tułowia i spróbował oderwać od brzozy. Wtedy błyskawicznie wciągnęło głowę, odnóża i wtkę do wnętrza rogu i zaskoczony profesoromal nie wypuścił istoty z rąk.

Ze wzruszenia zaschło mu w gardle i zaczęło wyraźnie kłuć w piersi. Już nie wątpił, że dokonał epokowego odkrycia w dziedzinie nowoczesnej zoologii. Zawinąwszy drogocenny róg w chustkę do nosa, ruszył w stronę domu, by pokazać żonie znalezisko i jak najszybciej zająć się niesamowitym stworzeniem.

Helena nie było na dachu. Otworzył drzwi swoim kluczem, przeszedł do salonu, położył róg na stole i włączył notebooka. Gdy komputer się uruchamiał, pobiegł do szopy, gdzie stała wielka - obecnie pusta - klatka dla kurcząt. Przyniósł ją do salonu i umieścił w niej zagadkowy róg, a sam zaczął opisywać nieznaną stworzenie. Istota tymczasem wysunęła głowę, rozejrzała się i przespacerowała, machając wtyczką. Profesor patrzył na nią rozgorączkowanym wzrokiem i nagle usłyszał, że otwierają się drzwi wejściowe.

Żonie dziwne zwierzę zupełnie nie przypadło do gustu; nie była zoologiem i dlatego nie wykazywała żadnego zainteresowania zwierzętami... oprócz kotów. Stworzenie wydało jej się wyjątkowo wstrętne, ale nie powiedziała o tym, by nie robić małżonkowi przykrości. Martwiła ją rozmowa z córką.

- Pomyśl, Helusiu, przecież to zupełnie nowa klasa - mówił z entuzjazmem profesor. - Już wymyśliłem mu nazwę: Cornidomorpha! Trzeba zadzwonić do Rojtmana i zaprosić go do nas, by popatrzył na to cudencko. Takie odkrycie, takie odkrycie!

Istota w klatce wydała melodyjny pisk i mrugnęła. Orestes roześmiał się, kierując zachwycone spojrzenie na żonę i nagle zrozumiał, że jej zupełnie obojętna jest ta mała pokraka.

- Helusiu, coś ci dolega?

- Rozmawiałam z Irenką. - Helena jednak postanowiła wszystko opowiedzieć mężowi. - Zamierza przyjechać dzisiaj wieczorem.

- Cudownie, wreszcie zbierzemy się całą rodziną.

- Irenka nie przyjedzie sama.

- Tak, tak - powiedział profesor. - Stary czy nowy?

- Nowy i znowu obcokrajowiec... Tylko nie denerwuj się, proszę, wiesz, że nie możesz się denerwować.

- Znasz moje zdanie. - Popławski usiadł w plecionym fotelu. - Jest już dorosła i może żyć tak, jak chce. A poza tym dlaczego myślisz, że historia się powtórzy? Przecież nie wiemy, jaki to człowiek.

- Daria opowiadała mi o nim; przez pewien czas pracował u nich w instytucie. Parę lat temu zajął się biznesem i zdaje się osiągnął sukces. Ale nie jest tym człowiekiem, którego potrzebuje naszej Ircia. Ale zgoda: pożyjemy, zobaczymy. Co mam przygotować na kolację?

- Zrób coś według swego uznania. - Orestes nie spuszczał wzroku ze spacerującego po klatce rogokształtnego. - Mamy dzisiaj powód, by urządzić małą rodzinną ucztę...

Jedyną córką Popławskich, Irena, piękna dwudziestopięcioletnia szatynka z twarzą lalki i zawsze zdziwionymi błękitnymi oczyma, swoimi romansami przysporzyła rodzicom wielu zmartwień. Jej miłosne zawody przeżywała cała rodzina, choć zachowanie córki czasami zaczynało przypominać ojcu brazylijskie mydlane seriale. Miał swoje zdanie na ten temat: podejrzewał, że Irena („mój

Irysek”, jak ją nazywał) wybiera narzeczonych nie ze swego kręgu i nie wiadomo według jakich kryteriów, dlatego też cierpi.

- Prowadzisz się jak samica bataliona - oświadczył kiedyś w złości córce. - Tylko ptak tak może reagować na zaloty samca! Wszyscy twoi narzeczeni razem wzięci nie są ciebie warci, uwierz mi. Najwyższy czas znaleźć dobrego, poważnego mężczyznę z głową na karku i z określonym celem w życiu, którego myśli obracają się nie tylko wokół samochodów, pieniędzy i piłki nożnej. Dlaczego przestałaś się spotykać z Władziem Rusawinym? Nadzwyczajny chłopak, skromny, wychowany, obronił doktorat. Tylko marzyć o takim zięciu.

Irena ryczała na ramieniu ojca, zgadzała się z nim we wszystkim („Tatusiu, masz rację, jestem całkiem głupia!”), ale mijał czas i historia się powtarzała. Orestes, patrząc na wysiadających z nowej Toyoty Avensis Irenkę i rosnącego, dobrze zbudowanego, krótko ostrzyżonego chłopaka w drogim letnim garniturze, pomyślał, że rozmowy z córką były tylko stratą czasu.

Oleg od początku zachowywał się tak, jakby od lat znał się z profesorem i jego żoną, i to raziło Orestesa szczególnie. Była w gościu wyjątkowa pewność sobie granicząca z chamstwem. Przy stole ciągle mówił z pełnymi ustami.

- Ty, Orestesie Iwanowiczu, jesteś inteligentem - stwierdził adorator córki, nakładając sobie firmową orzechowo-buraczaną sałatkę Heleny. - Człowiekiem nauki, jak to się mówi. Ja jestem człowiekiem biznesu, ale jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody.

- Naprawdę? - z roztargnieniem zapytał profesor.

- Istotnie. Obaj mamy instynkt rybaka. Ty łowisz ptaki, żuczki, różne pajęczki, a ja klientów... jak szczupaka na żywca. W naszym fachu, jak tylko ziewniesz, to twój tłusty kawałek inny porwie ci sprzed nosa. W teraźniejszych czasach, jeśli się chce żyć, trzeba umieć wziąć swoje.

- A wy, młodzieńcze, czym się właściwie zajmujecie? - zapytał Orestes.

- Ma swój autosalon - odpowiedziała za przyjaciela Irena. - Bardzo dobry interes.

- Słabo orientuję się w biznesie - powiedział profesor. - To nie mój żywioł, chociaż Oleg... nie wiem, jak go zwać po ojcu, mówi, że jesteśmy podobni.

- Niestety, inteligencja stoi teraz na szarym końcu - stwierdził młodzieniec z uśmiechem. - Trudno kogoś zmusić, by pracował za grosze. A ty, Orestesie Iwanowiczu, jaką masz pensję?

- Jestem już na emeryturze. A w czym właściwie jest...

- No to jaką masz emeryturę? - Nie dawał za wygraną Oleg. - Dziesięć, dwanaście tysięcy rubli? Niesamowite. Warto było uczyć się całe życie? Ja w godzinę tyle zarobię, nie ruszając nawet palcem. Nie chcę cię urazić, Orestesie Iwanowiczu, po prostu taki jest teraz nasz kraj. Działa prawo naturalnej selekcji, chyba tak to się nazywa? Jeśli zajęc jest chory i wątły, wilk go zeżre. A jeśli sprytny i zwinny, to przeżyje. Dobrze mówię? W społeczeństwie jest tak samo, cherlacy nie mają szans. Zmemłają ich... czyli zjedzą bezlitośnie, jak zajęce.

- I takie społeczeństwo uważacie za sprawiedliwe? - Profesor uporczywie zwracał się do młodego człowieka przez „wy”.

- Oczywiście - ze szczerym zdziwieniem odezwał się Oleg. - Przecież ryzykuję. Komercyjne ryzyko, drogi tatusiu. Cały szmal w to włożyłem, coś niecoś wziętem od ludzi, więc oczekują ode mnie zysku.

Ale to mnie podnieca. Wcześniej siedziałem w instytucie i zajmowałem się różnymi bzdurami za budżetową pensję, a potem powiedziałem sobie: „Dość, chłopie, basta! Chcesz żyć po ludzku, ryzykuj, rób pieniądze, a nie tyraj na dobrego wujka za grosze!”. Zaryzykowałem i udało się. Mam teraz trzy własne gabloty z bajerami, pięciopokojowe mieszkanie na Pluszczysze i okrągłą sumkę na czarną godzinę. A kto nie ryzykuje, ten szampana nie pije. Ten, kto siedzi i czeka, że mu ukochana ojczyzna starość zabezpieczy, na próżno wargi rozciąga do napchania się... Odłotową robisz sałatkę, Heleno Grigoriewno!

- No dobrze, zgrabnie mówicie - powiedział profesor, dłużyąc widelcem w gołąbku - a jak mamy postąpić my, u schyłku życia? Czy też mamy iść do biznesu? Przecież już wiek nie ten i zdrowie. Nie mamy też okrągłych sumek i zyskownych synekur. Czy wy, młodzi i silni, zostawiliście nam miejsce pod słońcem? Czy my też zajęte chore i wątłe?

- Tato! - Irena z wyrzutem popatrzyła na ojca.

- A to już wy sami musicie wybierać, jakimi chcecie być zajęciami - ze zniewalającą bezczelnością odpowiedział Oleg. - Jakie macie powody, by się skarżyć? Państwo o was nie zapomniało, emeryturę płaci, chociaż małą, ale na czas. Pracować nie trzeba... i czy to złe życie? Nastał czas młodych. Jak to się śpiewa w piosence: „Młodym wszędzie u nas wolna droga”.

- Szczerze mówiąc, po co się skarżyć? - z gorzkim uśmiechem zauważył Orestes. - Żyj sobie i zasługuj na niebo... Helciu, pójde odwiedzić mego zwierzątko.

- Tato, mógłbyś chociaż tu odpocząć! - spróbowała grymasić córka.

Orestesowiomal się nie wyrwało, że znalezione przez niego dzisiaj zwierzątko, z jego punktu widzenia, jest tysiąc razy bardziej interesujące od jej aktywnie pochłaniającego sałatkę i gołąbki biznesmena, ale się w porę powstrzymał. Rozłożył tylko ręce i wszedł do domu. W salonie było dosyć jasno, więc nie zapalał światła. Istota wisiała pod sufitem klatki, wczepiwszy się wszystkimi sześcioma odnóżami w siatkę. Natychmiast zauważyła Orestesa i przyjaźnie pisnęła.

Profesor siadł przy stole, podparł ręką głowę i długo patrzył na mieszkańca klatki. Ten również nie spuszczał z niego przerażająco świadomego spojrzenia i od czasu do czasu konspiracyjnie mrugał.

- Co mam z tobą zrobić? - zapytał nagle profesor, zwracając się do zwierzęcia. - Teraz wszystkim potrzebne są pieniądze, a nie nowe zoologiczne odkrycia.

Istota znów pisnęła i odniósł wrażenie, że w jej pisku wyraźnie zabrzmiało współczucie.

- A może ty wcale nie jesteś zwierzęciem? - indagował, zdumiony własnymi domysłami. - Może Piotrowicz miał rację. Może przybyłeś z innej planety czy nawet z innej galaktyki?

Tym razem w pisku wyraźnie zabrzmiała radość. Orestes wyciągnął rękę i włączył lampę stołową. Istota zeszła na dno klatki i patrzyła na człowieka uważnie i przyjaźnie.

- Mój ty Boże! - szepnął Popławski, obejmując głowę rękoma. - Stary dureń ze mnie, że też się wcześniej nie domyśliłem!

Wahał się tylko przez moment. Zdecydowanym ruchem otworzył drzwiczki i wyjął swojego jeńca, ostrożnie stawiając na stole.

- Wybacz mi - powiedział. - Przecież nie wiedziałem...

Istota wydała głośne, przeciągłe syczenie, i wtedy nieoczekiwanie powierzchnia rogu stała się jaskrawo malinowa, zaświeciła fosforycznym blaskiem, a witka istoty przysłała się do ręki Popławskiego. Uczony krzyknął, nie tyle z bólu, co z przerażenia. Podniósł do oczu ukąszoną dłoń.

- Za co? - wykrztusił, przenosząc spojrzenie z malutkiej ranki na istotę.

Dziwny stwór znowu zaczął mrugać. Orestesowi zrobiło się zimno, potem gorąco, serce zaczęło łomotać, jakby zamierzało rozerwać klatkę piersiową, w oczach zamigotały zielone i czerwone błyskawice. Pomyślał, że teraz umrze. Wiedział, że nie ma odtrutki na ukąszenia obrzydliwych stworzeń kosmicznych.

Wstając od stołu, zachwiał się, ale zdołał dojść do kredensu. Wszystko kręciło się i płynęło. Chciał zawołać żonę i córkę, ale pomyślał o losie kosmity i powstrzymał się. Niech już lepiej pomyślą, że uśmiercił go zawał serca...

Otworzył szafkę; pod ścierkami znalazł prawie pełną paczkę gauloises i zapalniczkę. Wiedział, że żona potajemnie pali, ale przymykał na to oczy, udając, że wierzy w jej zapewnienia o niepaleniu. A teraz on też mógł wypalić papierosa - może ostatniego w życiu. Zrobiło mu się nagle tak lekko na sercu, że omal nie zapłakał ze szczęścia. Nieprzyjemne odczucia w piersi zniknęły i czuł jakiś niewytłumaczalny zachwyty. Chciało mu się śpiewać, krzyczeć, stanąć na głowie, przytulać do kobiet. Tańczyć. Prawdopodobnie tajemnicza trucizna rogomorficznej istoty już poraziła system nerwowy.

- Euforia - z płaczącym się językiem stwierdził Popławski, łapczywie wciągając dym z papierosa. - Trucizna tego rożka posiada psychomimetyczne działanie... Rozweselający róg! Róg Dionizosa! Wiem, jaką dam ci nazwę, się będziesz obecny we wszystkich informatorach z zakresu zoologii jako Cornus Dionisius Poplavsky!

Profesor był jak w stanie upojenia. Nie była to totalna nietrzeźwość, znana każdemu, kto choć raz w życiu przedawkował trunki. Jego ciało nabrało nieokreślonej mocy i lekkości. Rozkoszował się przepełniającą go energią. Serce zaczęło bić mocno i rytmicznie, zniknął doskwierający ból w kręgosłupie, mięśnie nabrały siły. Jak dwudziestoletni młodzieniec Orestes podbiegł do okna, odsunął firankę i przeskoczył przez parapet. Nieoczekiwanie pojawił się przed zdumionymi domownikami, którzy już zaczęli się niepokoić jego długą nieobecnością.

Efekt był piorunujący. Helena straciła dar mowy. Irena pisnęła przestraszona i przewróciła kubek z kompotem, wylewając płyn na kolana. Oleg zastygł z kawałkiem placka wiśniowego w ustach. Orestes obdarzył ich promiennym uśmiechem, wykonał kilka tanecznych kroków i roześmiał się siadając na krześle.

- O Boże! - wyrwało się żonie - Orestes, co ci jest?

- Niespodzianka! - uczony pokazał jej język i zwrócił się do Olega. - No, magnacie samochodowy, co ty tam plotłeś o naturalnych wyborach?

- Tttata jest pijany - jękając się, wydusiła z siebie Irena.

- Tak, jestem pijany radością życia. - Profesor zerwał się, wskoczył na krzesło, leciutko zeskoczył i stanął w pozycji gimnastycznej, która zakończyła występ. - No i co, wątpy ze mnie zając?

- Orestesie, postradałeś rozum! - Żona zerwała się na równe nogi, przewracając krzesło. - Nie wolno ci...

- Wszystko mi wolno! - Popławski zaczął skakać dookoła stołu, wymachując rękoma. - Pluję na

chorobę! Pluję na lekarzy i ich zakazy! Niech wszyscy idą do diabła. Chcę tańczyć! Dajcie mi skórę pantery i bęben, będę pijanym satyrem na antycznym święcie. A wy, dziewczynki, będziecie moimi nimfami. Ruszajcie się, zatańczmy taniec błogosławionych pasterzy, raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy...

- Tatko, ale jazda! - wyrwało się narzeczonemu córki. - Co paliłeś?

- Jaki ja dla ciebie tatko? - zaśmiał się Popławski, szturchając młodego człowieka palcem. - Przecież jestem młodszy od ciebie! Chcesz ożenić się z moją córką. Udowodnij, że jesteś chłopem. Stawaj do walki. Zwycięzys, ożenisz się z Irenką. Zgoda?

- Żartujesz! - zarechotał zmieszany kandydat na zięcia.

- Co, stchórzyłeś? - grzmiał Orestes. - A plotłeś coś o walce o przetrwanie. Jesteś po prostu pustakiem, padlinożercą! Namnożyło się was do licha, spekulantów...

- Tato, przestań obrażać Olega! - pisnęła córka.

- Zamilcz! - krzyknął jej ojciec, miotając z oczu skry. - Głupia! Wiecznie znajdujesz jakichś roztrzepanych słabeuszy...

- Mam dość, moja cierpliwość się kończy! - Młodzieniec zerwał się z krzesła - gdybyś nie był staruszkim, to bym ci...

- Co ty mi, co ty mi? Pustaku jeden!

To, co wydarzyło się potem, przeszło wszelkie oczekiwania. Oczom sąsiadów, który przybiegli zaalarmowani histerycznymi krzykami kobiet, ukazał się niesamowity widok: na trawie, przy furtce, leżał plackiem młody człowiek w jasnym garniturze, a na nim siedział purpurowy z gniewu Orestes i wykręcał chłopakowi rękę. Pokonany krzyczał z bólu i sypał wyszukaną łaciną. Zwycięzca spokojnie odpowiadał:

- Teraz, wypadaloby ci złoic tyłek, biznesmenie!

Nagle pokonany zdołał uwolnić kończynę; zrzucił napastnika, zerwał się z ziemi i wybiegł za furtkę. Ruszył w kierunku swego samochodu, przytrzymując zwichniętą rękę. Twarz wykrzywił mu grymas bólu i strachu. Orestes wybiegł za nim. Widząc, że przeciwnik już włączył zapłon, stanął przed samochodem. Żona i córka znów podniosły krzyk i rzuciły się, by go odciągnąć, ale stanęły jak wryte, widząc, co zrobił profesor. Orestes chwycił przód toyoty i uniósł prawie pół metra nad ziemią.

- No co, doigrałeś się, rzeński zajacu? - krzyknął uczonej triumfalnie. - Teraz ci pokażę, na czym polega naturalna selekcja...!

Nad daczą Popławskich, na wieczornym niebie, rozbłysło oślepiające światło. To sprawiło, że profesor zapomniał o przeciwniku. Nad wierzchołkami topoli i klonów, które otaczały dom, na dużej wysokości pulsowała coś podobnego do ogromnej, rozświetlonej od wewnątrz bańki mydlanej. Orestes natychmiast przypomniał sobie o istocie, którą nazwał Rogiem Dionizosa.

- Na razie daruję ci życie! - krzyknął do Olega, puścił samochód, z łatwością przeskoczył półtorametrowy płot i wbiegł do domu. Dziwnego stworzenia już nie było. Zagadkowe światło nad domem zgasło i zapadła niezwykła cisza. Profesor uśmiechnął się, zadowolony, i usiadł w ukochanym pleconym fotelu, odchylił się na oparcie i zamknął oczy. W takiej pozycji zastały go obie panie, które wpadły do pokoju.

- Tata, co ty narobiłeś! - szlochała córka. - On odjechał, rozumiesz, odjechał!
 - To znaczy, że mu się poszczęściło - odpowiedział profesor, nie otwierając oczu.
 - Złamałeś mu rękę!
 - Szkoda, że nie kark.
 - Irciu, daj ciśnieniomierz. - Głowę Heleny zaprzętały zupełnie inne myśli. - Orestesie, jak się czujesz?
 - Naprawdę chcesz wiedzieć? Ostatni raz czułem się tak osiemnaście lat temu, gdy zrobiłem habilitację. Proszę, daj papierosa.
 - Orestesie! - Wydawało się, że żona lada moment się rozplacze. - Jakiego papierosa? Przecież...
 - Ze mną wszystko w porządku. Czuję się znakomicie.
 - Kpisz sobie ze mnie! - Zapięła mankiet tonometru i zaczęła mierzyć ciśnienie. Gdy odczytała wynik pomiaru (123 na 81), pomyślała, że traci rozum.
 - Irenko, przynieś mi torbę - poprosiła. - I włącz górne światło, chyba źle widzę skalę.
- Córka, wycierając łzy, spełniła prośbę matki.
- Tato, co się z tobą dzieje! - krzyknęła przestraszona.

Helena była zaskoczona. Jeszcze kilka minut temu włosy męża były siwe, teraz ściemniały, zrobiły się gęste na czole i potylicy, a zmarszczki, bardzo wyraziste podczas choroby, prawie wygładziły się. Profesor wyglądał teraz na mężczyznę czterdziestopięcioletniego, a może nawet młodszego.

- Orestesie, ja... - zaczęła Helena i zacięła się. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.
- Helciu, wszystko w porządku - powiedział Popławski, z miłością patrząc na żonę. - Słowo honoru. Chodźmy skończyć kolację. Gościa już nie ma, więc możemy spokojnie posiedzieć...

Badania, jakie przeszedł Orestes po powrocie z daczy, dały zdumiewające wyniki. Następstwa przebytego zawału całkowicie zniknęły, łącznie z blizną na sercu - lekarze nie mogli uwierzyć, że wykonane analizy należą do sześćdziesięcioletniego mężczyzny. Wkrótce po Moskwie zaczęły krążyć najbardziej fantastyczne opowieści. Próbowano dowiedzieć się, jakież to cudowne środki przyjmował profesor. A on w odpowiedzi tylko rozkładał ręce i mówił: „Moje lekarstwo to moja żona”. O Rogu Dionizosa nikomu nie opowiedział, nawet Rojtmanowi, swemu najbliższemu przyjacielowi. Gdy jaskrawe światło z ulicy wpadało do mieszkania, Orestes rzucał wszystko, biegł do okna i wpatrywał się w nie, a potem, rozczarowany, odchodził od parapetu i powtarzał: „Gdybym wiedział, jaka to była substancja!” Może towarzyszyła mu refleksja: „Oni jeszcze kiedyś wrócą...”

1997 - 2010

Tłumaczenie: Tadeusz Rubnikowicz